№ 25. 22. Czerwca. 1850.

TYGODNIK LWOWSKI.

PISMO LITERACKIE.

Wychodzi każdéj Soboty 1 lub 1½ arkusza. Cena kwartalna we Lwowie 1 Złr. — Na prowincyi z przesyłką pocztową 1 Złr. 15 kr. m. k. — Pieniądze przesyłaja się **bezpłatnie** pocztą wprost do księgarni K. Wilda we Lwowie, wyraziwszy na kopercie: »**Przedpłata na Tygodnik lwowski.**

Z dniem 1 Lipca zaczyna się nowy kwartał Tygodnika lwowskiego, *mając zapewnione oprócz dalszego współdziałania tych samych Literatów którzy nas dotąd swoim współpracownictwem zaszczycać raczyli jako pp. Szajnochy, K. Ujeskiego, Zygm. Kaczkowskiego, także nowe współpracownictwo ze strony p. Władysława Zawadzkiego i innych spodziewamy się iż szan. p. Czytelnicy także w życzliwości dla naszego pisma ostygać nie zechcą. —*

Pieniądze prenumeracyjne prosimy wcześnie nadsyłać, w kopercie przy niniejszym Nrze załączoną.

O bohaterstwie Polaków za granicą w 16 wieku.

(Dokończenie.)

Waleczne wyprawy prywatne, o których mowa, musiały częstokroć znosić zarzut, że narażały spokojność kraju, ściągały nieprzyjaciela na ojczyznę. Zarzut to słuszny. Wszelako słuszność jego nie mierzy tyle przeciw samemu czynowi podjęcia tej lub owej wyprawy, lecz przeciw okoliczności, że te wyprawy niedostatecznie podejmowano, że podjęte prywatnemi siłami nieurosły w wyprawy publiczne, w powszechne wojny narodowe. Czemu jednakże szczególne usposobienie narodu przeszkodą było. Naród w ogólności nie lubił wojny, zwłaszcza zaczepnej. Potrzeba było, jak n. p. za czasów Stefana Batorego, nadzwyczajnej energji króla, usilnego współdziałania wielkich ludzi jak Zamojski, aby do powszechnego wstępnego boju zachęcić. Bez takich bodzców stawały zawsze tylko małe garstki pod bronią. Każde pospolite ruszenie, nawet w razie obrony kraju, zbierało się z trudnością, opieszale. Im większa gromada się zebrała, tem gorzej pospolicie szły rzeczy. Bo im większa liczba zasługę jakiegoś wielkiego czynu podzielać miała, im mniejsza przeto cząstka zasługi i chwały każdemu pojedyńczemu uczestnikowi przypadać mogła, tem słabiej działał urok tego czynu na zgromadzoną masę, tem mniejszy pociąg uczuwał każdy do niego. Ztąd co się niezrobiło małą garstką, w najopłakańszem położeniu, jak np. pod Kirchholmem, pod Chocimiem, w Danii, nawet pod Wiedniem, to niezawodnie nie zrobiło się wielką siłą, ogromną potęgą pospolitego ruszenia, jak np. w wojnie kozackiej r. 1649, tureckiej r. 1672. Pochodziło to nie z okrzyczanej niezgodności narodu, lecz z przesadnej chętki popisywania się z pojedyńcza, z własnego ramienia w szczupłej drużynie. Takie zaś luźne popisy, jakkolwiek chwilowo najświetniejszem uwieńczone zwycięztwem, były nakoniec powszechnie bezskuteczne a czasem, narażając kraj na niespodziewany odwet nieprzyjaciela, jak osobliwie w 17 stuleciu, nawet zgubne. Ponieważ jednak tylko takie dorywcze przedsięwzięcia największy pociąg budziły, przeto wytryskały one co chwila z łona narodu, nie urastały w dostateczną siłę publiczną i po cudach waleczności i szczęścia kończyły się nieszczęściem. Ta właśnie ostatnia okoliczność rzuciła tak niepomyślny cień na te wyprawy prywatne. Samym czynem swego podjęcia, swoją intencją, były one zazwyczaj zgodne z powołaniem i potrzebą narodu, były patriotyczne i polityczne. Miały one pospolicie Wołoszczyznę, połwyspę krymską, Moskwę na celu — a stałe ugruntowanie tam przewagi polskiej odpowiadało najżywotniejszemu wymaganiu polityki narodowej. Należało tylko do wykonania tych przedsięwzięć znaleść słuszną siłę pośrednią, tj. ani zbyt wielką, dla którejby przeznaczony do osiągnięcia cel urok bohaterskiej zuchwałości mógł stracić, ani zbyt szczupłą, zbyt prywatną, aby sama jej szczupłość na bezkuteczność i zgubę skazywała. W tej zwyczajnie niestosunkowej szczupłości sił służyły nasze wyprawy tylko do rozsławienia bohaterstwa Polaków po zagranicy, ale zato zbierały ten zysk jedyny w najbujniejszej, jakiej tylko można było zapragnąć, obfitości.

Większa, najgłośniejsza połowa tych wypraw prywatnych zdarzyła się w 17. wieku. Z podobnych wypraw 16. stulecia najważniejszemi są wyprawy Albrychta **Łackiego**, wojewody sieradzkiego i Dymitra z Wiśniowca na Wołoszczyznę. Od lat dwudziestu wzięli tam Turcy górę nad Polakami. Osadzony przez Polaków hospodar Alexander,

okrutny dla poddanych i przeto w nienawiści u nich, sprzyjał otwarcie Porcie. Dumniejsza część szlachty tęskniła do odzyskania wpływu w ziemi „bogdańskiej“, jak Turcy wołoską zwali. W tym czasie zjawił się w Polsce Jakub Herąklides Bazylik, mieniący się księciem czyli despotą wyspy Samos. Wyświadczona Polsce rycerska posługa w wojnie inflanckiej pod Pozwolem, jakoteż» iż miał osobną godność i powagę w swojej postawie zjednały mu wielką wziętość u szlachty. Wywodząc ród swój od dawnych xiążąt Wołoskich jął on przemyśliwać o hospodarstwie. Nie chwalili mu tego pogrążeni w dysputach Lutrzy polscy, ale rycerski katolik Łacki chwycił się gorliwie obrony Bazylika. Otworzył mu się zaraz skarbiec wojewodziński, otworzyła zbrojownia, zgromadzono na Spiżu waleczną garstkę Polaków i Węgrów, wyruszono (r. 1561) przez Węgry do Wołoszczyzny. Hospodar Alexander uciekł z dziećmi do Turcyi, Bazylik czyli Despot usiadł dzięki Łaskiemu na stolicy wołoskiej. Z początku zachowywał on się bardzo zacnie i wdzięcznie. Wyprawił przyjazne poselstwo do króla Zygmunta Augusta i pozyskał sobie jego łaskawe względy. „Bywali już i od króla posłowie u niego i niektóre rady koronne, jako do człowieka uczonego, z którym mogła być przyjaźń wdzięczna, często do niego pisywali. Bytność Łaskiego przy nim długo mu i u Wołochów miłość i u Polaków sławę czyniła. „Gdyż go jako za brata miał i bez jego woli, rady i wiadomości nic nie czynił“ Atoli po roku panowania“ jął Despot ciężkie pobory na Wołochy ustawiać i angarie niemałe na nie wnosić. Od czego iż się Łaskiemu odwodzić nie dał, k'temu kościoły jął odzierać i na pieniądze się fundować, Łaski widząc, że w takim ludzkim ucisku nie długo miał trwać, odłączył się od niego i do Polski przyjechał.“ Wrócił tam był wówczas i Dymitr Wiśniowiecki, który podobnież rycersko do Turek i Moskwy chadzał. Obaj bohaterskiemi czyny wysławieni, byli radośnie od wielkich tłumów ludzi witani i przyjmowani. W uroczystej chwili stanęli obaj, w licznej komitywie prowadzącego ich do stóp tronu rycerstwa i ludu, przed obliczem króla Zygmunta. Gdzie „uczciwą sprawę“ o sobie zdawszy, łaskawie byli od króla przyjęci, i wina im przejrzana. Rychło potem Wiśniowiecki roznie mógł się śmiertelnie, „rozumiejąc żeby struty miał być. Czego król żałując, doktorom go swym opatrować kazał.“ Ale to zdrowia mu nie wróciło. Chorzał po koniec życia. Chciwy zaś bojów Łaski wyprawił się przeciw Tatarom, i aż nad czarnomorskim wybrzeżem, u Oczakowa, tak potężnie ich zgromił, że aż n̄ morze zbiegać musieli.

Tymczasem Despot, coraz srożej lud uciskając, popadł w powszechną nienawiść u Wołochów. Postanowili obrać sobie nowego pana. Nie mogąc się jednak zgodzić, podnieśli jedni na hospodarstwo Tomżę, Wołocha, drudzy zapragnęli Polaka. Waleczność bowiem Łaskiego, ludzkość jakiej dał dowód, porzucając Despota, skoro ten Wołoszę ciemiężyć począł, zapewniły Polakom niezgasłą odtąd cześć u Wołochów. Zgodzono się wtedy w drugim obozie na Lacha Dymitra Wiśniowieckiego. Lubo ciągle obłożno chory, przyjął Dymitr wezwanie i ubezpieczony przysięgą posłanników wołoskich, „że go za pana wezmą, by się im tylko ukazał, z Kozaki do Wołoch przyciągnął. Lecz niźli mu ku pomocy ci przyszli, co po niego przysłali, od Tomzinych ludzi był pogromion. A iż sam dla chorego zdrowia na wozie jechał, nie mogąc przed jezdnymi ujechać, w kopę siana zakryć się musiał. Tamże był pojman i z Janem Piaseckim, Podolaninem, herbu Zabawa, cesarzowi tureckiemu do Carogrodu posłany. Którzy obadwa tam na haku zawieszeni byli, nad odnogą morską, ku Galacie idąc. Piasecki łatwiej skonał, bo lecąc uwiązł na haku za ud, a głową się na dół obrucił, i tak prędko go krew zalała. A Wiśniowiecki za żebro uwiązł, i tak oczyma się obrócił ku górze, przeto był żyw do trzeciego dnia, aż go Turcy ustrzelali z łuku gdy przeklinał ich Mahometa.“ Czego więc dla choroby orężem dokazać nie mógł, to wynagrodził Dymitr bohaterską wiernością wierze swych ojców, męczeńskiem nieprzyjęciem ofiarowanego zwyczajnie potępieńcom chrześcijańskim życia podwarunkiem przyjęcia islamu.

Krwawo też Polacy niebawem śmierci Wiśniowieckiego pomścili. Mimo wydania Dymitra Turkom nie utrzymał się Tomża na hospodarstwie. Wrócił tam na jego miejsce dawny hospodar Alexander. Przeciw tegoż synowi Bogdanowi wdarł się na xięstwo wołoskie za pomocą Turków Iwonia. Byłto, jak powiadano, poturczony Polak, rodem z Mazowsza, niegdyś dworzanin wojewody krakowskiego Firleja, teraz w łaskach u dywanu i szczerze przychylny Porcie. Jednak bez względu na to zażądał cesarz Selim większego niż dotychczas haraczu, na który niechcąc przysłać, otrząsł się Iwonia zuchwale z jarzma tureckiego i wiary mahometańskiej, podniósł broń przeciw Porcie i wezwał z jednej strony króla polskiego Henryka, z drugiej wprost Kozaków polskich o pomoc. Król Henryk wymómówił się przymierzem z Turcją, ale rycerstwo kozackie nadbiegło natychmiast na odgłos wojny. A było to rycerstwo przed uorganizowaniem kozaczyzny przez Batorego wcale czem innem jak później. Były to niespojone jeszcze żadnem powszechnem hetmaństwem pojedyńcze poczty rycerskie, wojujące z osobna, wiedzione od zacnej szlachty polskiej. Pomiędzy tą przewodniczącą Kozakom w 16. wieku szlachtą znajdowały się imiona najpierwszych rodzin polskich, jak Lanckorońscy, Wiśniowieccy, Zborowscy — znajdowali się najzawołańsi rycerze owego czasu, jak np. Swierczowski, jeden z „wojowników Sarmacji“ Starowolskiego. Przybyło wiele takich drużyn i wojowników w pomoc Iwonii. Swierczowski przyprowadził dwieście koni, Barsan dwieście, Kozłowskie dwieście, Stużeński tyleż,

Sokołowski i Jańczy po sto, Bracławianie dwieście. Byłato więc sama szlachta polska, nie licząca jednakże razem więcej nad tysiąc dwóstu mężów. Przyjęci serdecznie od Iwonii, przez cały ciąg wojny jak bracia od niego traktowani, odwzięczyli mu się Kozacy cudami waleczności. Mimo niewielką liczbę porwali się śmiało do boju z całą potęgą ottomańską i klęską po klęsce ją razili. Odparli zwycięzko wyprawionego przez Portę wojewodę mułtańskiego, wpadli w jego własne dzierzawy, wzięli szturmem Braiłów, Belgrad, Tejnię i resztę zamków. Nie było już nogi tureckiej po tej stronie Dunaju. Utrzymanie się Iwonii przy tych skutkach zwycięztwa byłoby uwolniło Polskę i chrześcjaństwo od klęski cecorskiej, pokoju Buczackiego i oblężenia Wiednia. Atoli zdrada wołoskiego starosty Chocimia Hieremiego wszystko zniweczyła. Mając bronić Turkom przeprawy przez Dunaj, wpuścił ich potajemnie przez rzekę i dał im wpaść znienacka na Iwonię i Kozaków. Wynikła z tąd klęska dotychczasowych zwycięzców była śmiertelną. Pobity Iwonia, pożegnawszy się serdecznie z Kozakami, dał się zabrać w niewolę, ale zachowując szlachetną dumę do końca, sam hardemi słowy śmierć z ręku najwyższego wodza Osmanów na siebie ściągnął. Kozacy postanowili bronić się do ostatka. „Gdzie widzieli najprzedniejszy ufiec turecki tam wpadli i jako wściekli Turków siekli. Także mężnie gardła dali, nie bez wielkiej szkody w ludziech tureckich. Zdziwić się niemogli Turcy wielkiemu sercu i śmiałości ich. Dwanaście ich tylko pojmali — Swierczowskiego hetmana, Wawrzyńca Kozłowskiego, Płoczanina herbu Jastrząb — Zadorskiego, Jańczego, Zaleskiego, Kopyckiego, Reszkowskiego, Sokołowskiego, Libiszowskiego, Czyżowskiego, Sucińskiego, Boguckiego. Ale te wszystkie później wykupiono, acz ich Turcy na swą wiarę mocno namawiali.“ Owszem większa część tych rycerzy biła jeszcze Turków później równie szczęśliwie jak pod Iwonią, zwłaszcza najsławniejszy rycerz wyprawy Iwoninej Swierczowski, który do ostatniej chwili życia z pogaństwem walcząc, wielokrotnie jeszcze aż za morzem na trackich i małoazyjskich wybrzeżach ogniem i mieczem je nękał.

Nie skończylibyśmy, gdyby nam te wszystkie zamorskie wyprawy kozackiego rycerstwa wyliczać i opisywać przyszło. Dla tego przechodzimy do ostatniego rzędu naszych zagranicznych bohaterów, tj. do takich, którzy zupełnie luźnie, zpojedyńcza, samowtór albo samotrzec pomiędzy cudzoziemcami wojując, w najodleglejsze strony świata sławę oręza polskiego rozniełi.

Na ich czele wielki odstępca Gliński, przed swoim odstępstwem wielki pogromca Tatarów pod Kleckiem. Słynny w swoim czasie utwór dramatyczny utrwalił go w wyobraźni narodu jako lamentującego nad swojemi zbrodniami starca. O ileż jednak większą jest w historji całkowita postać Glińskiego! Nie zwykły szlachcic polski, ale potężny xiąże feudalny, dzierżący „prawie pół Litwy“ z niezliczonemi zamkami, utrzymujący dyplomatyczne stosunki z cesarzem Maxymilianem i z carem moskiewskim, wożący przed sobą zatkniętą na drzewcu głowę zabitego nieprzyjaciela, marszałka w. xięstwa Zabrzezińskiego, trzęsie on rodzinną Litwą, zagraża całej przyszłości Polski, włada potem, jako opiekun synów Wasila, carstwem moskiewskiem. Do tak rozgłośnego zawodu przysposabiał on się dwunastoletnią rycerką po całej Europie. Naprzód, idąc śladem nieśmiertelnego Zawiszy, udał się młody kniaź na dwór cesarza rzymskiego. Ztamdąd zwidził on z orężem w ręku, śród ciągłych bojów wszystkie południowe kraje europejskie, „zbadał położenie wszystkich twierdz znakomitszych, wyuczył się wszystkich języków europejskich.“ Nieszczęśliwa małomowność naszej biograficznej literatury nie odaje nam bliższych szczegółów tej rycerskiej wędrówki po świecie. Jednakże, przy burzliwem charakterze Glińskiego a wojennem usposobieniu owoczesnej epoki, jakąż obfitość najróżnostronniejszych przygód możemy sobie w tym rycersko-wędrownym zawodzie naszego pogromcy Tatarów z łatwością wyobrazić! A w takim razie wyobraźnia zwyczajnie poza rzeczywistością pozostaje.

Podczas gdy Gliński na zachodzie wojował, słynął w Litwie kniaź Konstanty Ostrogski. Pojmany od Moskwy u Wiedroszy, był jak najsurowiej w więzach strzeżony. „Miał ręce opak ołowiem nazad zalane i nogi okowane — przeto musiał przysięgę jakiej żądano czynić.“ Wtem najeżdżają Tatarzy Moskwę. Ze wszystkich wodzów moskiewskich nie wzbudzał żaden w carze Iwanie tyle ufności zwycięztwa co pojmany Ostrogski, gdyby chciał stanąć do boju. Obowiązuje go tedy car prowadzić Moskwę przeciw Tatarom, zdejmuje mu kajdany, a jeniec polski gromi w istocie nieprzyjaciół swojego własnego więziciela. Pierwsze zaś zwycięztwo Ostrogskiego każe carowi pragnąć więcej podobnych przysług. Przeco za nic w świecie, nawet mimo zawarty z Polską pokój, nie wypuszcza polskiego hetmana z niewoli, i dzieje się więc, że nieznanym w historji przykładem, potężny mocarz walecznością własnego jeńca, walecznością okowanego Polaka, przez lat kilka państwo swoje od najazdów zasłaniał. Dopiero zmyślną ucieczką, w której znane wstąpienie na mszę do cerkwi ocaliło uciekającego przed bliską pogonią wrogów, ratuje się Ostrogski, wraca do Polski. W kilka lat później pomścił on swoją niewolę, swoje kilkuletnie przymusowe bohaterstwo w moskiewskiej zagranicy pamiętnem zwycięztwem nad Moskwą u rzeki Orszy — zwycięztwem, „które z najświetniejszemi wszystkich narodów i wieków wiktoryami śmiało równać się może.“

W tymże samym czasie Przecław Lanckoroński, poźniejszy wódz rycerstwa kozackiego, wraz z Konstan-

tynem Ostrogskim pogromca Tatarów pod Wiśniowcem, pielgrzymował z orężem w ręku po Europie. Zwiedziwszy najpolerowniejsze jej dwory udał się do dworu Chrystusowego, do męczeńskiej Jerozolimy. Gdzie pokłon u grobu pańskiego uczyniwszy, „wojował po ziemi świętej i po różnych przyległych krainach barbarzyńskich i wiela rycerskich fortelów wyuczył się.“ A szkołą tej nauki były krwawe pobojowiska, nauczycielami karki a czasem gromy wrogów, popisami dojrzałości późniejsze zwycięztwa w domu, nad nieprzyjacioły ojczystymi, jak tam nad Ordą pod Wiśniowcem.

Jeżli zaś Lanckoroński na polach azyjskich do boju się zaprawiał, młody Tarnowski pielgrzymował po naukę rycerską aż do Afryki maurytańskiej. Nie mając dość na poznaniu sposobu wojowania w Europie, dał on się unieść powszechnemu w ówczesnej Europie prądowi wyobrażeń rycerskich, który z Hiszpanji ku nowej Ameryce a z Portugalii ku lądom i morzom afrykańskim najdzielniejsze umysły i oręża na odkrycia, zdobycze i przygody porywał — i przeprawiwszy się z bohaterskim królem Portugalji Emmanelem za słupy Herkulesowe „walczył długo w Afryce z murzynami.“ Ten żywy udział w umysłowem poruszeniu swojego czasu zapowiadał już Polsce w młodym Tarnowskim owego później rycerza - mędrca, który nietylko ramieniem ale i głową, umiejętnem zgłębieniem sztuki wojennej, nad rozszerzeniem wojennej sławy swego narodu pracował — nie tylko zwyciężał nieprzyjacioł ale zwycięztwa swoje w ułożonych przez siebie kronikach i pamiętnikach zarazem opisać umiał. Pamiętniki Tarnowskiego poszły w zatratę — pozostała tylko pamięć jego zwycięztw pod Gwoździcem, Obertynem, Starodubiem i reszty.

W końcu zasmakowali Polacy tak dalece w tem bohaterstwie zagranicznem, że np. Bartłomiej Nowodworski większą część życia za granicą wojując strawił. Walczył naprzód przez lat siedmnaście we Francyi, za króla Henryka Walezego, w długoletnich wojnach religijnych, stojąc w obronie Katolików przeciwko Hugenotom. Po uspokojeniu wojen domowych nastąpieniem Henryka IV. udał się Nowodworski do Malty, gdzie kawalerem zakonu św. Jana zostawszy, przez ośm lat po morzu środziemnem, po jońskiego i egejskiego morza wyspach rycerski prowadził żywot. Zwidził też i wybrzeża Afryki i w jednej z najgłośniejszych bitew 16 stulecia, pod Lepanto, stanowczo do zwycięztwa nad potęgą osmańską przyczynił się, opłacając tę przysługę śmiertelną raną, z której zaledwie uzdrowion. Owocem tych wszystkich doświadczeń rycerskich Nowodworskiego padła Polsce jego rycerska pomoc przy obleżeniu Smoleńska za Zygmunta III, któreto przedmurza przeciw Moskwie głównie radą i walecznością naszego Maltańczyka zdobyto.

Najgłośniejszym jednakże w 16 wieku imieniem polskim za granicą było imię rodziny *Łaskich*. Wspomniono już o Albrychcie Łaskim, który Despota na hospodarstwie osadził. Nie mniej sławnym był jego stryj Stanisław. Ten, policzony później do „wojowników Sarmacyi,“ wojował za młodu we Francyi, pod głośnym w całej Europie Franciszkiem I, w jego uporczywych z cesarzem Karolem V. wojnach. Jak Polacy we wszystkich słynnych bitwach owego czasu, pod Mochaczem, pod Wiedniem, pod Lepanto, swój konieczny udział krwi i wawrzynów mieć musieli, tak też i pamiętna w tych wojnach bitwa pod Pawią nie mogła swojej polskiej nie mieć ofiary. Walczył w niej przy boku króla Franciszka Stanisław Łaski i został z nim razem pojman. Wróciwszy później do Polski, wsławił się głównie w wojnie moskiewskiej. Jednakże z całej rycerskiej rodziny Łaskich nie przeszedł nikt brata Stanisławowego a ojca Albrychtowego Hieronima czyli Jarosława Łaskiego, wojewodę sieradzkiego. Historja jego życia przedstawia szereg najzuchwalszych przygod i czynów za granicą. Poważniony w ojczyźnie z domowymi nieprzyjacioły, opuszcza on strony rodzinne, wojewodztwo, i udaje się za Karpaty na dwór króla Janusza Zapolskiego, który przyciśniony orężem Ferdynanda Habsburga potrzebował nagłej pomocy Za radą i ramieniem Łaskiego „otrząsa się Ferdynandowi król Jan, acz już bardzo był namdlał. Czem Łaski wielką miłość sobie u króla Jana zjednał. Jednak gdy król później tę suspicyą miał o nim, jakoby dołki miał kopać pod nim a sam o królestwo węgierskie się starać, założywszy nań przyczynę inszą, wsadził go do więzienia, w którym z jednym sługą a kucharzem zostać musiał. Rady koronne a zwłaszcza powinowaci w Polsce gdy się o tem dowiedzieli, Mikołaja Rusockiego, herbu Korab, kasztelana Biechowskiego do króla Jana wyprawili, żądając, aby był wypuszczon. Pisał i król Zygmunt pilnie i ostrze. Odpisywał król Janusz wszystkim a więzienie szło w długą. Jakoż potem Andrzej Tęczyński, kasztelan krakowski, z peregrynacyi bożogrobskiej wracając, króla Janusza nawiedził, a tamże wespołek z Janem Tarnowskim wojewodą ruskim, który tam na ten czas był też przyjechał, staranie takie uczynili, że Łaski był wolno wypuszczony i udarowany. A ku temu jeszcze Debreczyn mu król Jan dał w pewnej sumie dzierzeć. Gdzie zaraz z Tęczyńskim i Tarnowskim jechał, aby tę sumę od mieszczan podniósł. Czego gdy mieszczanie uczynić nie chcieli, związał ich wnetże coprzedniejszych siedmiu i przed sobą z Tęczyńskim ku Kezmarku, wprzód wyprawił. A sam z Tarnowskim w pięciset koni za niemi jechał, trzymając wiele chłopstwa na sobie i bitwę z nimi często a gęsto zwodząc, którzy koniecznie więźnie im odbić chcieli. I tak ich aż do samej Cisy rzeki odprowadzali. Którą Polacy przebywszy, na koniach do Kezmarku wszyscy cało przyjechali a potem do Polski. Chcąc się zaś zemścić despektu swego nad królem Janem, udał się Łaski zasie do nieprzyjaciela Januszowego, do Ferdynanda. I ze-

mściłby był pewnie. Lecz w tem, gdy posłem był w Turczech od Ferdynanda, trucizny mu się dano napić — niewiedzieć, jeźliże się go Turcy obawiali, jeźliże ten król Janusz najął. Zaczem chor do Polski przyjechał i w Krakowie leżąc umarł w ojczyźnie.» Cóż za dramatyczna, co za uderzająca w życiu jedynego człowieka kolej wypadków — to gniewne opuszczenie ojczyzny, to utwierdzenie jednego króla na tronie, to pokuszenie się o tron dla siebie samego dalej więzienie, zbrojne przebicie się dodom, szukanie zemsty u dworu drugiego króla, otrucie na trzecim dworze, wreszcie powrót do ojczyzny, aby tam tylko umrzeć!

Nie dziw też że tak zuchwałe czyny, tak różnorodne publiczne i prywatne, gromadne i pojedyncze wyprawy i przedsięwzięcia rycerskie tak szeroko imie polskie w 16 wieku po świecie rozgłosiły. Odtąd towarzyszyła Polakom wszędzie sława nieustraszonej, zuchwałej rycerskości, ujmowała im serca, ludu i możnych. I nie obeszło się bez głośnego w dziejach 16 stólecia danku rycerskiego, ofiarowanego bohaterstwu polskiemu ręką i sercem pięknej królewnej. Otrzymał go w imieniu polskich 16 wieku rycerzy wojewoda bełzki Jan Tęczyński, miłością swojej szweckiej Cecylji. Nieodznaczający się niczem innem, jak tylko że był rycerskim synem swego rycerskiego narodu, ujrzał on się godnym pozyskać przyrzeczenie ręki cudzoziemskiej panny koronnej i już płynął po nią za morze, gdy go w tem śmierć w Kopenhadze zaskoczyła. Piękna królewna Cecylja mogła tylko sercem, tylko oblubieńczą miłością przynieść dank naszemu 16 stulecia bohaterstwu — a piękna królewna Europa takżeż zawsze tylko sercem, zawsze tylko czczym sentymentem, tylko czczą sławą, tysiącletnie obrończe wysługi swego rycerza — Polski odwdzięczać będzie?

O śnie.

Przez Władysława Z . . . .

(Ciąg dalszy.)

Nie zawsze jednak Jenerał przebywał w spokojnej komnacie swojego pałacu, nie do razu dochwycił się do steru opinji i stał się popularnym w salonie. Za młodu był czas że Jenerał ze zdrową jeszcze szczeką i żywszym rumieńcem w twarzy, szpakowaty już dobrze, bo doświadczenie przystało Marsowemu licu i skroni Minerwiej, lecz wówczas jeszcze bez peruki, był czas, któż niewie i nie pamięta że Jenerał był wielki dla swoich a straszny dla obcych. Nieprzyjaciel oblegał wielkie miasto, w mieście dowodził Jenerał. Nieprzyjaciel postawił szubienicę pod samemi murami miasta i ogłosił że jeżeli się miasto podda, to miastu przebaczy a obwiesi komendanta. Zbledli kupcy i mieszczanie, niepewni co począć mają, trwoga zapukała w serce kontoarów, za stoły sklepowe i ścięła najodważniejsze serca. Z jakąż energją, z jakim niewysłowionym dowcipem Jenerał bronił upadające miasto. W złotym mundurze, bezsenny z miejskiego ratusza sypał rozkazy, co niby tarcza nieprzełamana rozciągały się nad miastem zbladłem i przerażonem. Śmierć temu kto pod broń niestanie, śmierć kto z wałów miasta ustąpi, śmierć kto pierwsze zwątpień wyrzecze słowo. Bali się Jenerała kupcy, bali się stokroć więcej nieprzyjacielskiego rabunku, gotowi walczyć jak lwy. Tymczasem z promieniem słońca, co złociło się po dalekich piaskach w około, po sinej rzece i po zielonem morzu, zajaśniały pyszne złote orły, przyszedł bohater, zmiótł jednem stopy posunięciem mały zastęp, co mu legł na drodze do nowych zwycięztw i chwały, a szpakowaty Jenerał odetchnął radośnie. Odtąd nowa epoka datuje się w życiu Jenerała. Pamiętna chwila gdy w czarnych frakach z rozrzewnionym burmistrzem na czele, przyszło mieszczaństwo. Na śrebrnej tacy stał puhar ogromny na nim symboliczne figury, wyrażajace, tryumf i dziękczynienie, to wszystko było wręku burmistrza ze łzami w oczach. Rozrzewnił się również Jenerał, ujął puhar, przemówił, a syt wieku i chwały, rzucił pole Marsa i wrócił w rodzinne strony. Młodszych braci wyprawił na wojnę w dalekie kraje, by tam szukali zaszczytu i bogactwa, młodsze siostry oddał na zakonice, bo pobożność u niego przed wszystkiem i odtąd osiadłszy już spokojnie w niedzielonych swych dobrach dziedzicznych, żył spomnieniem i czcią nabytą. Odtąd puhar był duszą eneralskiego życia, około niego motała się cała treść Jwieku i chwały Jeneralskiej. Odtąd jak niegdyś ów Taborytów wielki, slepy wódz z kielicha, nasz bohater jął się pisać Jenerał z puhara i śrebrny puhar był wszędzie gdzie była mowa o Jenerale, gdzie była cześć dla Jenerała. W dobrach Jeneralskich posępnie chyliły się o ziemię chaty wieśniacze, niby płaczki żałobne, i wewnątrz nich była nędza i smutek wieczny; ale w salonie Jenerała, gdy w wytwornem swem towarzystwie, przodkujący rozmowie i zdaniu rozgadał się stary Jenerał, gdy w tabakierkę uderzył dwoma palcami i zadzwonił szczeką z najczystszej kości słoniowej, gdy jął rozprowadzać polityczne swe widoki i wnioski, strategiczne tłumaczyć zadania, opowiadać własne wojenne dzieje, a płynny potok myśli rozgrzewał zgliniałe starością oblicze, rozczerwieniał je aż w rumieniec sinawy wtedy uwielbienia dla Jenerała było w duszach słuchaczów. On jak piłkami przerzucał ich przekonaniem. Jenerał stał u steru opinji swego towarzystwa.

III.

A teraz popatrzmy na chwilę z góry, niby ptak co się nad powierzchnię obszernej wzniósł okolicy, i przejrzyjmy ją całą i obaczmy co robią nasi bohaterowie. Okolica piękna, zieloną siatką wzgórzów coraz piękniejszych orzucona, szumią jodłowe lasy, Wisła toczy się poważnie w szerokich piaskowych korytach, a dalej zielonością ubrana, wodami

oblana wieś rozrzuciła się piękna i biały w niej pałac jaśnieje otoczony ogrodem niby gajów wieńcami. Cienista tam altana z powoju i winnej latorośli szmer wodospadu słychać tuż obok. W altanie było dwoje ludzi, zapewno kochanków. O kilkanaście staj od ogrodu szeroką drogą wiodącą w prost do pałacowej bramy jechał Jenerał pyszną karetą.

W altanie było dwoje ludzi. Hermina jaśniejąca świeżością, a obok niej stał młody człowiek trochę zamyślony, trochę posępny, a tak jeszcze młody, że dziw zkąd jemu posępność i zaduma. Wojna daleko od swoich rzuciła go w te strony. Tułacza ukrywającego się przypadek co trzęsie losami i duszami rzucił w pobliże Herminy. Najpiękniejsza z kochanek o jakich czytał i marzył z młodu, najdroższa z sióstr wszystkich, przedmiot ciągłej tęsknoty i marzenia, dalekiemu od rodziny, ona była kochanką, przyjaciółką i siostrą. Był czas że w duszy Karola nie było miejsca dla obrazu kobiety. Położenie kraju, spólne nieszczęścia i spólne boleści od dzieciństwa rysowały się dotkliwie po myśli młodej i wypełniały duszę. A niecodziennej, wulkanicznej natury był ustrój duszy Karola, i niecodzienna była myśl, co kiedy raz, niby kaganiec rozgorzała w ciemniach uczucia, to dla tej myśli już on żył życiem całem i duszą, i dla tej mysli jednej a żywej ciemność nie była mu ciemnością, boleść boleścią, wszystkie środki zdawały się łatwe wszystkie drogi otworem. Dla tej myśli w ośmnastym roku życia Karol został żołnierzem, w kilka miesięcy później wygnańcem. Tułacz poznał Herminę. Miłość niby tęcza opasała duszę młodzieńca. On anatomicznym palcem nigdy po za różową osłonę ułudy nie dotknął jeszcze szkieletów świata Myśl dawna towarzyszka pędziła w świat naprzód, miłość trzymała w miejscu, przy boku dziewczęcia.

— To już z pewnością chce pan odjechać? pytała Hermina towarzysza, którego przy niej widzieliśmy w altanie.

— Muszę, bo po co zwlekać? . . odpowiedział.

— I nic pana nie zatrzyma już z nami?

— Któżby chciał zatrzymywać, mówił patrząc w oczy Herminy.

W oczach Herminy było niby zamyślenie, niby chmurka.

— Przecie tu może byłoby bezpieczniej u nas niż gdziekolwiek indziej. Bóg wie kiedy pan do nas wróci, mówiła dalej zwolna, a wtedy może . . . może zakochany, żonaty

— Najpewniej tylko zapomniany.

— O nie — to nigdy, nigdy . . . odrzekła z takim rumieńcem i wzrokiem, z takim odcieniem uczucia w twarzy że Karol ujął jej rękę, której przed chwilą dotknąć nie śmiał.

— Nie? . . Przyrzeka pani? . .

— Przyrzekam, odpowiedziała równie czarująco, serdecznie.

A z dali aż do zielonej altany doleciał turkot, i stęp koni. Karol nie słyszał, Hermina słyszała. Połuwagą była w altanie, półduszą, uchem i ciekawością odleciała za ogród daleko na drogę.

Karol całował rękę trzymaną. Serce usta drżały wszystkiemi nerwami, oczy, lica paliły się pod gorącym powiewem uczuć niewysłowionej słodyczy i nowości.

— A tętent koni był coraz bliżej, tuż pod parkiem. Niby ptak spłoszony zerwała się Hermina.

— Adieu, adieu panie, mówiła w lekkim poskoku ku ścieżce — Żegnam pana.

A Karol nie mógł wypuścić ręki trzymanej. Z ławki przegiął się za odbiegającą i patrzał w twarz jej z takiem utęsknieniem jak konający co radby powstrzymać duszę odlatującą z ostatnim oddechem.

— A przyrzeczenie. . a pamięć? . .

Wtedy Hermina zwróciła ku niemu oczy jasne, duże i wesołe, piękna rumieńcem wesela i zdrowia, za odpowiedź w śliczne dłonie ujęła oburacz jego skronie, i lekki przelotny dziewczęcych ust pocałunek omusnął rozpalone czoło młodzieńca.

Przeczytawszy w N. 24 Tygodnika Lwowskiego artykuł *O śnie* z podpisem podobnym mojemu, niechcąc przywłaszczać sobie ani zalet obcego pióra, ani stawać się odpowiedzialnym za jego przywary, dla uniknienia jakichbądź nieporozumień, mogących wynikać z tego powodu, oznajmiam publicznie, że rzeczonego artykułu nie pisałem.

Z Jezierny 17 Czerwca 1850. r. Władysław Zawadzki.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

O Malarzach lwowskich.

(Ciąg dalszy.)

Raczyński śmiało twierdzić możemy, jest jednym ze znakomitych malarzy, nietylko naszej Prowincji, kraj cały słusznie chlubić się nim powinien.

Wrodzony talent, wzbogacił obszerną nauką, pracowitem studiowaniem i zapatrywaniem się na dzieła mistrzów, estetycznie wykształcił się zwiedzeniem pierwszych Europejskich galerji. Zamiłowany w ojczystych dziejach i zwyczajach wzbogaca pięknemi utworami skarbiec narodowej sztuki, i da Bóg będziemy mogli ozdobić jego imieniem wiele kart w dziejach polskiego malarstwa. Życzyć by wypadało aby młodzi artyści pracujący za granicą brali przykład z p. R., gdyby znich każden przywiózł nam parę takich kopji, jak żniwiarze (les moissoneurs) *Leopolda Roberta,* Rafał i Michał-Anioł w galerji Watykanu i Judyta *Werneta;* wkrótce kraj posiadałby tyle pięknych wzorów, że już synowie nasi niepotrzebowaliby jeździć na naukę do zagranicznych akademji. Ale powtarzam takich kopji jak p. Raczyńskiego. Niebędziemy opisywać obrazów z których kopiował p. R. albowiem są znane z tysiącznych litografij.

Żniwiarze (*les moissoneurs*) wielkości oryginału: Ze wszystkich prac p. R. ta jest najwięcej wykończona. Bogaty, żywy koloryt, rysunek mistrzowski, biegły i śmiały wszystkie postacie tchną życiem, każden ruch pełen wdzięku i prawdy, każda fizionomja nacechowana pewnym wyrazem. Z zachwyceniem możemy przyznać p. R. że nas obdarzył kopją zupełnie godną sławnego oryginału. Do szczególnie wypracowanych miejsc obrazu należą: z prawej strony dwie żniwiarki siedzące na snopach; — po środku

młodzieniec, co idzie przed wołami; po lewej stronie cała grupa idąca przy wozie.

Po Żniwiarzach słusznie położymy Judytę. Chociaż Michał-Anioł i Rafał w Watykanie, co do kompozycji, większą ma wartość; jednakże pisząc o kopjach musimy mieć na pierwszym względzie wykończenie; a co do tego Judyta nie ustępuje w niczem Żniwiarzom.

Rafał i Michał Anioł w Watykanie ($^1/_4$ naturalnej wielkości). Jeden ze znakomitszych obrazów Werneta, mniej jest znany, opiszemy w krótkości treść kompozycyi. Oto przed nami Watykan w chwili swego powstania. Na przodzie obrazu Michał-Anioł, niesie księgę miecz i Klucze. Z pooranej jego twarzy promieni cały geniusz, cała potęga ducha. Postawą, ubiorem wyrazem różni się od stojącego w głębi Rafała.

Z oryginalnych prac p. Raczyńskiego znakomitsze są: 1.) Ś. Jan; jeden z dawniejszych jego obrazów; bo jeszcze w 1844. widzieliśmy go w atelier malarza. Na pomoście kamiennym stoi swięty poprzednik pański. Twarż jego wyraża pokój i natchnienie, oczy pełne myśli, nad głową swieci aureola. W jednem ręku krzyż, druga wskazuje w stronę skąd przychodzi baranek boży. Cały ubior składa, skóra wisząca przez biodra i płaszcz purpurowy. Za nim w pięknej perspektywie cudny widok Syryjski, Jordan; dalej odziane lekką mgłą wzgórza; a nad nim pogodne niebo powłoczone chmurkami, zarumienione zorżą. W całym obrazie pojedynczość i prostota, chociaż w niektórych częściach chcielibyśmy większego wykończenia t. n. twarż i głowa proroka zdają się nam nie zupełnie, pod względem techniki, doskonałe. Rysunek także nie jest bardzo poprawny.

2.) Szlachta sejmikowa na winie, w gospodzie małego miasteczka. Wyborne postacie! Po prawej stronie przy kominie widzimy siedzących trzech braci szlachty, wszyscy pod dobrą już datą; biorą właśnie na uwagę czwartego, co także dobrze już podpiły wystąpił na środek izby i przytupując nogą snać pocieszną jakąś prawi krotochwilę; przy nim staruszek, w zielonym żupanie, z szklanką w ręku, kołysze się na krześle. Głębiej dwie inne postacie sciskają się serdecznie. Na wszystkich twarzach ta prawdziwie polska szczerota i wesołość, prawdziwie sejmikowa rubasznośc — rumiane zdrowiem twarze, podgolone czupryny — Polska dusza! Polska krew! Jeszcze raz powtarzamy, wyborne! Prześliczne jest tło obrazu. Szare sciany gospody, komin w głębi drzwi, okno skąd pada oswietlénie na cały obraz. Zrobilibyśmy jedną uwagę p. R. że na tło tak ładnie szaro trzymane przyjaskrawe są kontusze, szczególnie ten czerwony i zielony. Podział swiatła jest bardzo dobry i naturalny, rozpływa się wolno bez wyliczonych efektów; W twarzach chcielibyśmy więcej gry i rozmaitości.

3.) Izba czeladna. Obiad. Czworo czeladzi siedzi u stołu. Przy palącym się kominie kobieta zajęta gotowaniem. Obok różne sprzęty gospodarskie. We wszystkich postaciach i w całej grupie wiele naturalności i prawdy; chociaż cały obraz trzymany zanadto szaro; zapewne, ubior naszego ludu jest bardzo jednostajny, martwy, że się tak wyrażę, nie masz tu jaskrawego kolorytu ani fantastyczności włoskiej, zawsze jednakże chciałbym więcej ciepła, więcej życia. Wnętrze izby szczególnie piękne. W ogóle p. Raczyński celuje w malowaniu tła i w dobrem urządzeniu swiatła.

4.) Biwouac rossyjskich żołnierzy. Przy zapalonem ognisku zebrało się małe kółko z czterech złożone osób. Jeden rozebrany z wierzchnej sukni, klęczy przy gotującym się kociołku. Nad nim Ułan z fajką w ustach — po drugiej stronie ognia dwaj inni w całym rynsztunku. Wszystkie twarze bardzo charakterystyczne, rysunek biegły, koloryt piękny; ale znać pospiech i niewykończenie jeden z głównych grzechów p. R. Życzymy z wrócić uwagę Malarza na rękę żołnierza sięgającą po drewka. To są rzeczy drobne — zapawne ale w najmniejszym szczególe chcemy poprawności — i wykończenia — wykończenia!

5.) Pejzaż zimowy. Przed karczmą w polu stanęły chłopskie sanki, para chudych koników i chłop przed niemi — oto cała grupa. Dalej pola okryte śniegiem, lasek. Taka pojedynczość, taka prostota! A jednak ten obraz liczymy do najlepszych p. Raczyńskiego. Perspektywa, nadzwyczajna lekkość i technika znamionują mistrza. Nieradzi widzimy tę budę na przodzie obrazu, bez niej byłoby i piękniej i prościej. S. Jan i Pejzaż zimowy ze wszystkich odrazów są najpraktyczniej malowane. Z mniejszych obrazów zasługują na uwagę: Studia z podróży — bawarskie okolice. Charakterystyczne typy, a szczególnie niebo lekkie, przejrzyste. Pejzaże jak wszędzie u p. R. wyborne. Szlachta kosztująca wino u Żyda. Mniejszej jest wartości; szczególnie przypomina sejmikową szlachtę w gospodzie — radzilibyśmy niepowtarzać się. Lepsze jest wnętrze klasztoru przy swietle lampy. Portrety p. Raczyńskiego zasługują na uwagę. Wyrazistością i pięknym rysunkiem niemogą jednakże porównać się z portretami p. Rajchana. Widzieliśmy u p. Raczyńskiego parę portretów rysowanych wiszerem z nadzwyczajną elegancją wyrównywającą miedziorytom z lekkością i rutyną mistrzowską. Boleśnie nam bardzo że p. Raczyński od niejakiego czasu zda się więcej zajęty chlebem powszednim, niż sztuką, w której tak pięknie się odznaczył. Lekcje rysunku dawane prywatnie zabierają mu czas drogi, z kąd gdy przyjdzie wylać się z myślą ciężącą na sercu ów pospiech i niewykończoność.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TEATR.

Córka Miecznika czyli Domy polskie w XVII wieku. Sztuka dla nas nowa chociaż treść bardzo znana, tem znajomsza

że autor nieuznał na rzecz niegodną siebie odpowiadać na niedowcipne dowcipkowanie, osądzanie bez sądu i nielogiczne wnioski nowniarza Czasowego. My nieuznajemy tego za błąd że Autor obrał przedmiot już tylokrotnie obrabiany, bo utwór autora mógłby pomimo tego być doskonałym. Gienjusze są twórcze nawet w naśladowaniu — tego żywym dowodem prócz wielu innych, Słowacki. — Ale nasz Autor niestety właśnie tam gdzie chciał być twórczym nietylko że niezdradza gienialności, lecz nawet twórczego talentu. O ile się trzymał znajomej nam treści o tyle ta jest dobrą ale przez zboczenie od niej zepsuł wszystko. Pomijamy przeniesienie rzeczy w XVII wiek, choć wiadomo wszystkim iż ta się działa w r. 1772, bo któż może ręczyć za to że taka sama historja nie stała się także w r. 1655. Pomijamy nawet to że autor przez nadanie tytułu: *Domy polskie w XVII wieku* każe nam niniejszą sztukę uważać za *ogólną charakterystykę* ówczesnych obyczajów w Polsce; być może iż się opatrzność dziejowa omyliła, że zdarzenie należące do XVII. zabłąkało się na koniec wieka XVIII. Wszak niejedna rzecz błąka się dziś po świecie którą jak nam się widzi nietylko do XVII. ale do XV albo XII wieku należy. Wszak niema prawie dnia żeby niepowstał jakiś upior średnich wieków. Są to błędy dziejów — autor „*Domów*“ poprawił więc dzieje. —

To pomysł jeżeli nie gienialny to przynajmniej bardzo nadzwyczajny. O ministrach słyszeliśmy że się czasem bawią w opatrzność, o poetach jeszcze nie. Dalej uznaje autor za niestosowną żeby małżeństwo „*Wojewodzica*“ z „*Miecznikówną*“ miało uchodzić za „*mésalliance*“ więc czyni Wojewodę *księciem*, ażeby niestosowność małżeństwa mocniej w oczy biła. Bo jakże można aby się *książe* ze *szlachcianką* żenił! Że to nie jest w polskim duchu że w Polsce nieuznawano książąt, hrabiów i t. d. tylko samą *szlachtę*; że szlachta możniejsza wynosiła się nad mniej możną, że dawniejsi rodem pogardzali „*scartabellami*“ że *Wojewoda* mógł uważać dóm *Miecznika* za nadto niski dla siebie, to autor wymazuje także z historji. Jemu nic do tego że wtedy takie były zdania, jemu nawet nic do tego że w prawdziwem zdarzeniu Wojewoda również jak Miecznik byli *hrabiami*, a przecież *hrabia* Wojewoda uważał małżeństwo z *hrabianką* Miecznikówną za *mésalliance*. Autor poprawia drugi raz dzieje. Wiemy o tem bardzo dobrze iż podobne krytykowanie dzieł poetycznych jest niestosowne; niedziejowość czyli raczej przeciwdziejowość nieujmuje nic wartości estetycznej — najgienialniejsi poeci nietylko że przekręcali zdarzenia dziejowe, albo charaktery, ale je zupełnie zmyślali. Z tego jednak niewynika, powtarzamy, żeby utwor autora był gienialny. Już to było niegienialne w pojedyńczem *prywatnem* zdarzeniu chcieć dać obraz wieku. Gdyby autor niebył wsamym tytule okazał uroszczenia do przedobrażania ducha wieku, nie bylibyśmy się zastanawiali nad tym anachronizmem, nawet o zwichnieniu narodowego charakteru tu i owdzie i bylibyśmy milczeli.

Układowi dramatu mamy tylko do zarzucenia iż nie jest dramatyczny, wszelkie działanie bowiem jest prowadzone przez dwie osoby podrzędne t. j. *koniuszego* i *giermka:* główne zaś osoby jakkolwiek nieźle charakteryzowane (szczególnie Miecznik) są prawie bezczynne, nie mają bowiem na cały czyn żadnego wpływu. Chyba to, że Miecznik *zezwala* na małżeństwo córki a książe *każe* ją uwieść będziemy za główne działanie uważać, tymczasem gwałt na córce Miecznika popełnia się bez wiedzy księcia, i cały czyn prawie jest dziełem koniuszego i giermka. Pomimo tego sztuka cała należy do lepszych i radzibyśmy częściej widzieć podobne — gdyż one wywierają pomyślny wpływ na publiczność; byle tylko nie ten nieszczęśliwy piąty akt, który całą wartość sztuki psuje, jestto dokończenie dodane po końcu. W czwartym akcie cała rzecz się kończy, aż tu nad wszelkie spodziewanie następuje 5. akt: uwięziony giermek nudzi swoją niemą sceną, Miecznik długą modlitwą — nareszcie i tkliwym serduszkom zadosyć się dzieje bo Marja nie zginęła, koniuszy zcięty — a książe i Miecznik „*rozpłakali się, pocałowali i zawołali zgoda.*“ Piękna to rzecz taka zgoda, byleby prawdziwa była, ale nie w dramacie. Znowu się spełniło raz Szylera zdanie o zbrodni i cnocie.

Co do gry musimy oddać słuszność naszym artystom, że kiedy mają odpowiednie role, kiedy się niemi przejmą i kiedy im się chce to wybornie grają. Pan *Nowakowski* grał miecznika z również zachwycającą prawdą jak p. *Aszperger* córkę, p. *Radzyńska* giermka z również zajmującą żywością jak p. *Rejmers* koniuszego, role kozaka Miecznika i kozaka przewodzącego porwaniem Marji były bardzo dobrze odegrane, a nawet p. *Szturm* przewyższył sam siebie w roli Wojewodzica chociaż zawsze zbyt prędko i z przesadą mówi kiedy chce oddać uczucie. P. *Smochowski* miał niewdzięczną rolę, niemiał co grać, bo też autor zrobił z księcia prawie zupełnie zbyteczną osobę. Gra naszych artystów odnowiła w nas te dumę, że pod względem prawdziwie dramatycznych zalet, nasz teatr pewnie najlepszy miedzy polskiemi teatrami. Obawiamy się że takich artystów jak p. Aszperger w pierwszych kobiecych a p. Smochowskiego w pierwszych męzkich patetycznych rolach takich komików jak p. Radzyńska, p. Nowakowski lub Rejmers (w niektórych rolach) nie prędko znajdziemy gdybyśmy tych postradać mieli.

Wydawca: **Karol Wild.** Redaktor: **Karol Widmann.**

Drukiem prassy pospiesznej E. Winiarza we Lwowie przy ulicy krakowskiej pod l. 77.